

216

PIĄTEK

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE ZAZDOŚCIŁ INNYM SUKCESÓW (II)

GDY HUMOR JEST KWIATEM A TWÓRCZOŚĆ OWOCEM

SZYMON PERES

I nna wspólna podróż odbyła się w roku 1964, gdy na porządku dziennym stał pewien projekt.

Przedłożyłem plan Eszkolowi, razem z preliminarnym budżetowym. Eszkol spojrział na arkusz papieru, który mu podałem i zrobiło mu się ciemno przed oczyma: „50 milionów! Tyle pieniędzy. Czy przeliczyłeś kiedyś milion! Pięćdziesiąt milionów — to 50 razy więcej. A w ogóle, po co aż tyle? Zaproprowałem mu aby obejrzał na miejscu urządzenie i wyposażenie. Pomysł ten spodobał mi się. Jakkolwiek dbał tak samo o grosze, jak o miliony, to jednak pociągały go wielkie cele; a ponieważ wiedziałem o tym, nie zważałem na jego zastrzeżenia.

Nawiązaliśmy kontakt z przyjaciółmi we Włoszech i uzgodniliśmy, że odleciemy samolotem na lotnisko w Neapolu, a stamtąd na Sardinie. Poprosiłem naszego attaché wojskowego we Włoszech, Reuvena Kari, aby załatwił Eszkolowi kwatery, ale nie w hotelu i bez zwracania uwagi. Kari znalazł niedaleko Neapolu starożytny pałac, który dawniej służył dynastii Bourbonów.

Na zewnątrz pałac prezentował się wspaniale; wewnątrz — nie funkcjonowało. Drzwi nie domykały się, woda w kranach była pełna rdzy, krzesła rozpadły się. Była to w zimie i w pałacu panował silny mróz. Eszkol nie wypowiedział ani słowa skargi. Wręcz przeciwnie, był w doskonałym humorze i wciąż żartował: „W taki sposób chcecie oszczędzać! Gdy zdjął frak, jak gdyby zrzucił z siebie swoje lata i stał się znów „małym urwisem”.

Wynajęliśmy karetę. Ezer Weizman, ówczesny dowódca sił lotniczych, usiadł na koźle, chwycił lejce i biec — i ruszyliśmy krętymi ulicami Neapolu.

Nazajutrz odlecieliśmy na Sardinie. Wyładowaliśmy na lotnisku obok pola eksperymentów, zasianego antenami, dziwnymi wozami i jasnymi budynkami na wzór kościołów z kopułami. W budynkach były komputery, a pracownicy nosili białe kitle, jak w laboratorium.

Jeżeli humor był kwiatem, to praktyczna twórczość była owocem u Eszkola. Tutaj objawił się nam zaciekawiony i spragniony czynów Eszkol. Kalkulacje, jakie usłyszał, nabrały w jego ustach sceptycznego niemal drwiącego tonu; jego prawdziwą skłonnością — były cynizm: śmiałe cynizm. Teraz nie mówił już do mnie „Jungerman”, lecz „reb Szymon”. „Ile czasu to nam zajmie, reb Szymon? To będzie kosztowało podwójnie, prawda? I nigdy nie będzie wykończony i idealny, prawda? Mimo to można było wyczuć, że pali się do czynu, że oczekuje ode mnie zachęcających odpowiedzi, które uzasadnią konkluzję, do której już doszedł w głębi serca.

Właściwie już podczas wsiadania do samolotu do Sardinii, powziął decyzję: dowód potrzebny mu był do uzasadnienia, a nie do podjęcia decyzji. Naszą wizytę podsumował tak: „Pieniądzy — nie ma, ale trzeba by wydać”. W drodze powrotnej wiedziałem już, że zyskałem sobie w nim nie tylko partnera, lecz również dopingującego człowieka, który będzie dwoił o niezwykłych porach i powtarzał pytanie: „Gdzie jestcie? Zbudowaliście już coś?”

Jest to dokonanie „portretu” Lewi Eszkola z książki „Idź z ludźmi”. Pierwszą część zamieściliśmy w ubiegłym piątku.

To był konstruktywny Eszkol. Eszkol, który zbudował towarzystwo „Mekorot” — a założył je w sposób iście „eszkolowski”. W przeddzień drugiej wojny światowej wyjechał do Niemiec, celem transferu mienia żydowskiego. „Domów nie można ruszyć z miejsca” — powiedział mi potem — „ale rury — można. Będą rury — będzie nawodnienie. Będzie nawodnienie, będzie Mekorot”.

Taki był Eszkol, kiedy zaczął zakładać osiedla na Negewie. Gdy członkowie Komitetu Centralnego partii zapytali go z czego osadnicy będą żyli, odpowiedział: „Z trawy... Będą hodowali trawę, będą jedli trawę”. Wielką zaletą Eszkola było to, że rzeczy nieprzyjemne mówił człowiekowi prosto w twarz; przyjemne mówił za jego plecami.

Z początkiem Wojny Wyzwoleńczej pewna kobieta prosiła go o rozmowę. „W jakiej sprawie?” — zapytał. Odpowiedziała: „W osobistej sprawie”. Z wyraźną niechęcią zgodził się przyjąć ją. „Zobaczysz — powiedział do mnie — ona przyjdzie z taką prośbą, jakiej nigdy nie potrafię spełnić i zachowa do mnie żal na całe życie”. I tak też było.

Kobieta przyszła. Twarz jej była ponura i miała trudności w wystawianiu się; jest wdową, ma jedynaka, którego wzięto do wojska i wysłano na front; cierpi od tego czasu na bezsenność i czuje, że nie potrafi tego znieść. Eszkol próbował wyjaśnić, że nie może jej pomóc. Po pierwsze, trudno przekazać polecenie do „nieznanego miejsca pobytu”; po drugie, nie leży to w jego kompetencji, a Cahal nie życzy sobie tego rodzaju interwencji; po trzecie, zgodnie z wytycznymi, nie należało wysłać chłopaka na front, chyba, że zgłosił się ochotniczo. I tak naprawdę było. Dlatego też nie może uwzględnić jej prośby: on, Eszkol, nie może i nie jest zdolny do złożenia obietnicy, jakiej nie potrafi spełnić.

Matka odeszła rozczarowana, z oczami pełnymi łez. Od tej chwili jednak Eszkol zaczął przewracać świat do góry nogami. Telefonował do szefa kadr, do pomocnika szefa Sztabu Generalnego, do dowódcy frontu i wreszcie odnalazł tego żołnierza. Nazajutrz nie przerwał swych starań, aż chłopak został przeniesiony na tyły.

Jestem pewny, że matka nie wie do dnia dzisiejszego co się stało, po jej odejściu z pokoju Eszkola, aż do chwili kiedy jej syn został przeniesiony w bezpieczniejsze miejsce.

I nne wydarzenie, poważne i bolesne doprowadziło do zaostrenia naszych stosunków i do rozłamu: sprawa Lawona.

Muszę powiedzieć na wstępie, że po prostu lubiłem Eszkola i jego poglądy. W niemałym stopniu zadecydował też o mojej drodze życia. On to przyszedł w czerwcu 1947 r. do „kwncy” Almut z listem od Dawida Ben Guriona dla zmo-bilizowania mnie do sztabu Hagany. Wcześniej jeszcze tonarzystylem mu w pracy z robotniczą młodzieżą. Nakładał na mnie wiele zadań i od czasu do czasu, w okresach kryzysu, zapraszał na spotkanie i proponował mi, abym porozmawiał z Ben Gurionem w sprawach personalnych i rzeczowych. Gdy został premierem i ministrem obrony zatrzymał mnie na stanowisku wiceministra obrony i rzecz jasna, byłem bardzo rad ze współpracy z nim.

Nie wpadło mi nawet na myśl, że nadejdzie dzień, w którym wpadnę w niebywale

skomplikowaną sytuację, jaka zakończyła się całkowitym rozłamem między nami, wbrew mojej woli i wbrew wszelkim moim oczekiwaniom i nadziejom.

Eszkol nie mógł zrozumieć stanowiska Ben Guriona w sprawie Lawona. Bez przerwy zapytywał: „Dlaczego Ben Gurion odnosi się do niej z taką surowością?” „O co właściwie walczy? O zasadę, o manewr? Dlaczego ma większe zaufanie do „wyższego oficera”, niż do Pinchasa Lawona?” „Przecież sam Ben Gurion zamianował Lawona ministrem obrony wbrew opinii towarzyszy”.



Eszkol dokonuje przeglądu kompanii honorowej Cahalu

Odpowiedziałem mu, że Ben Gurion walczy o zasadę, o prawo. Obawia się, że w naszym społeczeństwie, nawet z górnych kregach, umacnia się tendencja łusowania prawdy i boi się, że to spowoduje nieszczerze na nasz kraj.

„Jesteś pewny, że interesuje go tylko prawda?” — badał mnie.

„Tak”.

„No, a ty wierzysz, że można ujawnić prawdę, całą prawdę?” „Trzeba próbować” — dorzuciłem.

„A jeżeli znasz prawdę, to zawsze o niej opowiadasz? Wszystkimi? Zonie? Towarzyszom? O wszystkim co uczyniłeś — opowiadałeś?”

Krytyka ministra Josefa Almogi pod adresem premiera skłoniła Eszkola do wypowiedzi, że jeżeli „jeden lub dwaj” członkowie rządu nie identyfikują się z nim, to powinni wyciągnąć konsekwencje. Almogi postanowił zdymisjonować; ponieważ razem z nim należałem do zwolenników Ben Guriona, uznałem, że nie mogę pozostać Almgiego samego i zawiadomiłem Eszkola o mojej dymisji. Zaprosił mnie na rozmowę, aby namówić do pozostania. Ben Gurion wysłał do mnie list ze Sde Boker, w którym ponaglał mnie do pozostania na moim stanowisku, ponieważ zagrożenie obrony państwa są ważniejsze od wszystkiego. Ja jednak podtrzymywałem swój pogląd: doszedłem do wniosku, że nie mogę współpracować z Eszkolem, a jednocześnie popierać Ben Guriona, który wszczął z nim walkę.

Rozstaliśmy się po przyjacielsku, a podczas pożegnalnej uroczystości Eszkol obсыpywał mnie serdecznymi pochwałami.

Wybrany zostałem sekretarzem partii, jaką utworzyliśmy w czerwcu 1965 r. („Rafi”). Musieliśmy zorganizować się szybko przed wyborami, które miały się odbyć w listopadzie. Były to miesiące żmudnej pracy. Zaczęliśmy od zera — bez grosza, bez biura, bez oddziałów. Grupa skonsolidowana wokół „Rafi” była pierwszej klasy; Mosze Dajan, Natan Alterman, S. Izhar, Ichhak Nawon, prof. A. D. Bergman, Teddy Kolek, Josef Almogi, Gad Jakobi, Matylda Gez i inni. Na czele listy stał Dawid Ben Gurion, którego posunięcia były

„Szkoda twoich starań, nie z tego nie wyjdzie”; ale ja podtrzymywałem swój pogląd i żądałem, aby Dajan został włączony do rządu jako minister obrony. Widziałem w tym warunek dla powołania rządu jedności narodowej, w celu rozstrzygnięcia kwestii rozpoczęcia wojny i osiągnięcia zwycięstwa.

S tanąłem przed jedną z najbardziej skomplikowanych sytuacji w moim życiu. Iść do Ben Guriona i powiedzieć mu, że nie ma szansy usunięcia Eszkola i należy zadowolić się włączeniem Dajana do rządu w charakterze ministra obrony?

Wiedziałem, że Ben Gurion zareaguje na to z wielką furją. Przeszedłem do niego w czwartek rano — z towarzyszem — i zobrazowałem szczegółowo sytuację.

Ben Gurion zagrział jak wulkan: „Sądziłem, że jesteś politykiem i towarzyszem. Teraz w to wątpię. Nie rozumiesz, że Eszkol nie może stać na czele kampanii? Przecież razem uchwaliśmy, że warunkiem naszego przystąpienia do rządu będzie zmiana na stanowisku premiera”.

Wiedziałem, że w takiej sytuacji najlepszy będzie bezlitosny kontratak; „Ben Gurionie, jeżeli mówisz, że kiedy rzucisz na jedną szalę całą ideologię, a na drugą wszystkie potrzeby obrony państwa, to szala nasze go bezpieczeństwa zaważy — czy takie powiedzenie zobowiązuje tylko nas, czy także ciebie? Czy nie widzisz, w jakiej sytuacji wpadliśmy? Znasz przecież dokładnie naszą wagę w Kneset”.

Tak jak nagle eksplodował, tak też zgasił. Uciszył mnie i powiedział: „Bardzo mi przykro, wyrzuciłem ci krzywdę”.

Rozpoczęliśmy spokojną rozmowę, a Ben Gurion prosił, abym przedstawił mu sytuację i podał ostatnie wiadomości z frontu. Po dłuższej chwili zauważyłem, nagły błysk w jego oczach. Wiedziałem, że oczekuje mnie niespodzianka.

„Rozumiem twoje poglądy i wierzę w ich logikę i szczerść”, powiedział. „Jednakowoż nasz pogląd na Eszkola nie uległ zmianie. Zgadza się na przystąpienie do rządu, pod warunkiem, że powiesz Eszkolowi, że mimo to nie mamy zaufania do niego jako do premiera”.

Przeszyłem mnie ciarki. Wiedziałem jednak, że bez tej gorzkiej pigułki, trwać będzie kon-

sternacja i rozłam w czasie, kiedy nasi żołnierze niecierpliwą się.

Byłem ponury przez cały tydzień. Wieczorem podczas towarzyskiego spotkania w domu Ben Guriona, wszyscy obсыpywali mnie pochwałami i słowami zachęty, a najbardziej czynił to Ben Gurion. Mimo to było mi ciężko. Trudne zadanie było jeszcze przede mną.

Sekretarz Eszkola zadzwonił i prosił o przekazanie mu naszej decyzji. Spotkanie zostało umówione na następny dzień rano. Poprosiłem Ichhaka Nawona, aby przylączył się do mnie.

Eszkol przyjął nas uprzejmie, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Przekazał mi postanowienie „Rafi”, które oczywiście było mu już znane. Pochwalił decyzję, a nawet moje oświadczenie, że „Rafi” gotowa jest zjednoczyć się z Mapajem „bez wstępnych warunków”.

Pod koniec spotkania poprosiłem go o rozmowę w cztery oczy.

Powiedziałem mu: „Ku memu wielkiemu ubolewaniu muszę wywiązać się z jeszcze jednej misji, która nie jest ani łatwa, ani przyjemna, ale ma jedną uległą zmianie. Rzecz jasna, po wstąpieniu do rządu, będziemy postępować z pełną lojalnością, a wszystkie osobiste porachunki odsuniemy na bok”.

Mówiłem te słowa zacerwieńniony i zły potem. Nie mogłem wymigać się od tej trudnej misji, ale czułem jednocześnie, że obciążam ulubionego człowieka — ulubionego, nie zważając na wszystko co rozegrało się w ostatnim okresie.

Zdaje się, że Eszkol wyczuł co się ze mną dzieje. Jego reakcja była powściągliwa, a nawet pobłażliwa: „Rozumiem, że takie jest wasze stanowisko. Może jeszcze kiedyś je zmienicie”.

Po wyjściu z pokoju odetchnąłem z ulgą. Zastanawiałem się dokąd mam się teraz udać. Rzecz naturalna — do Dawida Ben Guriona. W domu przy Sderot Keren Kajemet, siedział stary lew, samotny i zmęczony, ze strachem i gniewem myśląc o przyszłości. Przeszedłem na Sderot Keren Kajemet, ale zamiast wejść do domu Ben Guriona, wstąpiłem do małej kawiarni w pobliżu.

Nakreśliłem numer kancelarii Eszkola: prosiłem o ponowną rozmowę. Po upływie kilku godzin spotkaliśmy się znów.

N a twarzy Eszkola malowała się dobrodusność, ale zarazem zdziwienie: co mam mu tym razem do powiedzenia? Odezwałem się: „Tym razem przyszedłem do ciebie nie w misji. Jutro lub pojutrze zaczyna grzmieć armaty. To wojna, a nikt nie wie, co ona kryje w sobie, dla narodu i państwa. Czy rzeczywiście jest rzeczą konieczną, abyśmy przystąpili do wojny w stanie rozbitcia w samej czolówce? Moim zdaniem nadeszła godzina pogodzenia się z Ben Gurionem. Wszystko co zdarzyło się dawniej, błędnie wobec tego co oczekuje nas jutro, pojutrze”.

Eszkol, zamyślony i zaskoczony, przerwał mi i zapytał: „Co proponujesz, abym uczynił?”

„Nie radz się nikogo, wsiadaj do auta i jedź na Sderot Keren Kajemet, wejdź do domu Ben Guriona i powiedz mu, że jesteśmy w przededniu wojny i co było — to było”. Dodałem: „Jeżeli mi pozwolisz, zaproprowałbym ci, żebyś poprosił Ben Guriona o natychmiastowy wyjazd do USA i ewentualnie

do Francji dla wyjaśnienia Eisenhowerowi i de Gaulle'owi oraz tamtejszym Żydom w jakiej sytuacji znaleźliśmy się i jakie jest jedyne wyjście z niej”.

Eszkol słuchał i zareplikował: „A co będzie jeżeli przyjdę do Ben Guriona, a on nie zechce mnie przyjąć? Dość już tego co było!”

„Jeżeli jesteś gotowy to uczynić — odpowiedział Eszkolowi — powitam cię przed domem i powiem Ben Gurionowi, że chcesz spotkać się z nim twarzą w twarz. Jeżeli wyrazi wątpliwość, zrezygnujemy z tej próby pojednania, jakkolwiek jest ona nakazem chwili”.

Stosunek Eszkola do Ben Guriona był dwuznaczny; jego uwielbienie nie było słabsze, ale dołączyło się poczucie głębokiej krzywdy za to, że „stary” odwrócił się od niego bez uzasadnienia.

Po namyśle powiedział do mnie: „Jest coś w tym. Pozwól mi pomyśleć o tym, jeszcze dzisiaj dam ci znać”.

Wyszedłem z jego pokoju podniesiony na duchu. Miałem nadzieję na pojednanie między Ben Gurionem a Eszkolem. Wiedziałem w tym wielkie osiągnięcie. Rozczarowanie nastąpiło szybko.

Przed wieczorem Eszkol zadzwonił do Jerozolimy: „Szymon, przemyślałem gruntownie twoją propozycję. Rozumiem twój pobudki. Nie mogę jej jednak teraz przyjąć. Może przy następnej sposobności”.

Opowiadanie to zachowałem w sobie przez długi czas. Minęło ponad 10 lat, a również w naszym obozie nastąpiły różne przemiany, a stare rany zaczęły się zablizniać. Mimo to jednak czuję nadal ostrą ból z tego powodu, że zakończyła się przyjaźń między nimi, a śmierć rozłączyła obu, kiedy byli nadal skłóceni ze sobą.

★

Eszkol był człowiekiem czynu i romantykiem. Lubił popisywać się liczbami. Były to jednak tylko pozory. Trzon jego indywidualności stanowiła miłość do czynu i budowy. Budował więc i był zakochany w budowie. Kochał ziemię, wodę, Warsztaty. Kochał śmiałość czynu i odważnych wykonawców. W rzeczywistości nie miał skłonności do szczegółów; wołał malarski pędzel od lineatu inżynierów.

K rajobraz Eszkola był pierwotny jak od stworzenia świata. Morze i ziemia, dolina i góra — Eszkol przepadał za takimi krajobrazami i wręczał się do swej twórczości, która była jednocześnie liryczna i prozaiczna.

Jego syjonizm był rolniczy. Skiby przemawiały do niego nie mniej niż filozofia. Wiara jego była trwałą — bez nastrojów i wahań. Wiara, wytrwałość i optymizm wraz z niezrównanym poczuciem humoru umożliwiały mu werbowanie ludzi o różnych temperamentach do twórczych czynów. Był centralną postacią grupy wierzących, odważnych i twórczych ludzi.

W dziedzinie bezpieczeństwa państwa był „aktywistą”. Jako członek dowództwa Hagany, wiceminister obrony, minister skarbu, minister obrony — czynił wiele dla spotęgowania naszej armii. Wiedział, że w sprawach tej kategorii należy widzieć przede wszystkim niebezpieczeństwo, a dopiero potem cenę; dzień jutrzejszy z jego wymogami, a nie tylko dzień wczorajszy z jego wieloma osiągnięciami. Nie przerażała go siła naszych wrogów, lecz bał się naszej słabości. Jak Żyd, który wie, że nasze prawdziwe skarby są ukryte w nas, w naszym wnętrzu, w mocnej wierze.